

# Etiopia – pomiędzy stereotypami a rzeczywistością



ISSN: 2719-9282

**Krzysztof Danielewicz**



Security  
in practice



## **Etiopia – pomiędzy stereotypami a rzeczywistością**

Opracowanie: Krzysztof Danielewicz

W niniejszym materiale mam przyjemność podzielić się swoimi wrażeniami z podróży po Etiopii, zrealizowanej w dniach 21.12.2018–03.01.2019. Zanim przejdę do jej opisu, warto powiedzieć kilka słów na temat samego kraju. Etiopia to oficjalnie Federalna Demokratyczna Republika Etiopii, dawniej Abisynia – państwo położone we wschodniej Afryce. Od południa graniczy z Kenią, na zachodzie – z Sudanem i Sudanem Południowym, na wschodzie – z Dżibuti i Somalią, a na północnym wschodzie – z Erytreą. Etiopia jest federalną republiką parlamentarną. Na czele państwa stoi prezydent, który sprawuje głównie funkcje reprezentacyjne. Pracami rządu kieruje premier Abiy Ahmed Ali. Powierzchnia Etiopii wynosi 1 127 127 km<sup>2</sup>, natomiast liczba ludności – 81,28 mln mieszkańców.

Na wstępie muszę zaznaczyć, że przed wyjazdem do Etiopii nie miałem żadnej wiedzy na temat tego kraju, poza pochodzącymi z dzieciństwa informacjami telewizyjnymi na temat ogromnego głodu w tym kraju, związanego z suszą w latach 70. XX wieku. Wiedziałem też, że kiedyś polskie zakłady URSUS sprzedawały na tamtejszy rynek swoje produkty, zresztą z sukcesami, i że obecnie trwają próby powrotu.

W stolicy Etiopii wylądowałem 21 grudnia w nocy około godz. 22.00. Po odebraniu bagażu musiałem kupić wizę, za którą zapłaciłem 50 dolarów. Kolejka oczekujących była długa, ale po otwarciu kilku kolejnych okienek szybko się przesuwała. Urzędnicy zabierają paszport i wyrabiają wizę – nie trzeba niczego samodzielnie wypisywać. Następnie należy się udać na tył boksu, gdzie oddaje się paszport do okienka bankowego i płaci za wizę, tam znajduje się nasz paszport, który po opłaceniu wizy jest nam zwracany. Warto jeszcze na lotnisku wymienić dolary czy euro na lokalną walutę, ponieważ zanim poznamy okolice hotelu i system wymiany, nie będziemy mieli czym płacić. Kurs to około 28 birr za jednego dolara. Niestety, stan banknotów etiopskich w znacznej części jest opłakany, są one po prostu bardzo zniszczone i brudne. W Polsce połowa z nich zostałaby natychmiast wymieniona przez bank na nowe.

Po wyjściu z sali przylotów z wizą i lokalną walutą szukałem osoby z moim nazwiskiem, która zgodnie z mailem otrzymanym z hotelu Kaleb miała na mnie czekać. Nikogo takiego nie widziałem, ale kilka osób, które zauważyło, że kogoś szukam, zaproponowało mi pomoc. Po uzyskaniu odpowiedzi wskazali mi jeden z wielu małych boksów z napisem Kaleb Hotel. Pokój

w tym czterogwiazdkowym hotelu zarezerwowałem poprzez Booking.com za cenę 60 dolarów za dobę. Na terenie sali przylotów nie było żadnych restauracji czy punktów usługowo-handlowych, znajdowało się natomiast wiele małych boksów z nazwami hoteli oraz punkt informacji turystycznej, gdzie otrzymałem za darmo bardzo dobrze wykonaną i kolorową mapę Etiopii. Następnie zająłem miejsce w moim małym boksie, gdzie niestety nikogo nie było. Po chwili zapaliłem światło i ku mojemu zdziwieniu, nie wiedząc skąd, pojawiła się w boksie młoda kobieta. Jak się okazało, spała na podłodze i kiedy zapaliłem światło, obudziła się i wstała – sytuacja była bardzo zabawna. Pani ta zaprowadziła mnie jakieś 200 metrów od lotniska na parking, gdzie był samochód, który mnie i inne osoby zabrał do hotelu.

W hotelu obsługa szybko przejęła moje bagaże, niestety był mały problem z moim pokojem, który nie został zwolniony na czas, ponieważ rodzina z Nigerii przedłużyła sobie pobyt. Zaprowadzono mnie do pokoju, który niestety nie został posprzątan, kolejny był dla palących, dopiero trzecia próba była do zaakceptowania. Zostałem przeproszony i poinformowany, że jutro przeniosę się do mojego pokoju docelowego. Następnego dnia zgodnie z umową został mi zaproponowany bardzo ładny pokój, taki jak na zdjęciu w Booking.com. Poza małymi problemami z armaturą sanitarną reszta była ok. Pomimo czterech gwiazdek, porównując do polskich hoteli, oceniłbym go na nie więcej niż 2,5–3 gwiazdki.

Kaleb Hotel leży w dzielnicy Bole w centrum miasta. Okolica została mi polecona przez znajomego, za co jestem mu bardzo wdzięczny, ponieważ w pobliżu znajdowało się wiele dobrych sklepów, restauracji czy hoteli, nie musiałem więc korzystać z taksówek. Zresztą, tak jak wspominał znajomy, lepiej brać taksówki zielono-żółte, które są w miarę nowe, za to unikać granatowych, głównie ład, które w większości mają ponad 40 lat i są w opłakanym stanie. Korzystałem z jednych i drugich i potwierdzam tę opinię. W rejonie tym znajduje się także wiele placówek dyplomatycznych, w tym Ukrainy około 200 metrów od hotelu.

Pierwsze trzy dni poświęciłem na rozpoznanie Addis Abeby, głównie dzielnicy Bole. Planowałem szybko znaleźć biuro turystyczne lub przewodnika, z którym mógłbym się udać w inne rejony Etiopii. Każdego dnia zapuszczałem się w coraz dalsze ulice Bole, zataczając koła, aby się nie zgubić. Większość ulic nie posiada swoich nazw. Biorąc taksówkę, należy opisać miejsce docelowe, np. obok takiego czy innego hotelu lub restauracji.





Zdjęcie 1-2. Rejon dzielnicy Bole w Addis Abebie.



Jeszcze w Polsce dostałem informację, że w moim rejonie znajduje się bardzo dobra restauracja Habesha, w której serwują kuchnię lokalną, można także posłuchać tradycyjnej muzyki etiopskiej i zobaczyć tańce. Po uzyskaniu informacji od obsługi hotelu na temat jej lokalizacji odwiedziłem ją i zjadłem tam swój pierwszy etiopski tradycyjny obiad – pokrojone mięso z jagnięciny, podane na cienkim, tradycyjnym etiopskim cieście/chlebie, zwanym indżera. Jak się później okazało, chleb ten jest podawany praktycznie do każdej etiopskiej potrawy. Generalnie w Etiopii je się rękoma, urywa się kawałek indżery i za jej pomocą chwyta mięso czy warzywa, wkładając wszystko do ust. Chociaż wiedziałem, że należy uważać na ostrość potraw, i tak byłem nią bardzo zdziwiony. W pewnym momencie myślałem nawet, że nie będę w stanie dokończyć obiadu. Dowiedziałem się także, że muzyka i tańce są codziennie od godziny 19.30. W związku z powyższym postanowiłem jeszcze tego samego dnia wrócić do restauracji i spędzić czas w sposób bardzo kulturalny. Zarezerwowałem stolik i kontynuowałem rekonesans dzielnicy Bole.



foto. Krzysztof Danielewicz

Zdjęcie 3. Pierwszy tradycyjny etiopski obiad w restauracji Habesha.

Pierwsze wrażenia były bardzo pozytywne. Nie spodziewałem się przed wyjazdem, że zobaczę tyle nowoczesnych budynków na styl europejskim. W oczy rzucało się jednak wiele niedokończonych budynków, co – jak się później okazało – wynikało z korupcji. Budynki były budowane do pewnego momentu, następnie okazywało się, że środki na dokończenie zostały zdefraudowane.

Zauważyłem także, że przed każdym wejściem do restauracji, banku czy większego marketu była ochrona, która przeprowadzała kontrole

bezpieczeństwa, nakazywała otwieranie toreb. W części hoteli czy banków stały także skanery



bezpieczeństwa. W bardzo złym stanie jest niestety większość chodników, co utrudnia przemieszczanie się. Jednak człowiek szybko przywyka do warunków, wystarczy nie porównywać i nie oceniać, jest jak jest. Inny kraj, inna sytuacja i warunki. Widać oczywiście wiele osób biednych, ale żebraków nie było wielu. Spacerując po ulicach, czuje się ogromną energię, mnóstwo młodych ludzi, bardzo ładnie ubranych. Osób o jasnym kolorze skóry jest niewiele. Spacerując samemu ulicami, nie czuje się specjalnego zainteresowania, nie czuć też żadnego zagrożenia, policja jest obecna, jak w przypadku krajów europejskich.

Wieczorne wyjście do restauracji Habesha było rewelacyjną decyzją. W przeciwieństwie do wielu tego typu miejsc w innych krajach, gdzie zespoły po zagranium czy zatańczeniu jednego czy dwóch utworów robią sobie przerwę, tutaj występy trwały dwie i pół godziny bez przerwy. W czasie, gdy zespół taneczny zmieniał stroje, występowała solistka, która pięknie śpiewała. Przy okazji poznałem rodzinę etiopską, która siedziała obok mnie z małą córeczką. Mężczyzna



Zdjęcie 4. Napój alkoholowy  
też gotowy do spożycia.

był właścicielem firmy szyjącej ciuszki dla dzieci. Otrzymałem od niego przy okazji kartę telefoniczną, której mogłem używać po doładowaniu. Odnośnie do restauracji, to okazało się, że posiada ona dwa zestawy menu, tańszy w ciągu dnia i droższy wieczorem, dodatkowo do rachunku dopisują 50 birr za słuchanie muzyki. Na sali były setki osób z całego świata, atmosfera rewelacyjna, ludzie bardzo przyjacielscy. Nawet wzrokiem można było zbudować pozytywne relacje, co udało mi się zrobić z jedną miłą Chinką i jej partnerem Etiopczykiem. Wychodząc, objęli mnie, jakbyśmy się przyjaźnili od lat. Z małżeństwem, które siedziało obok mnie, miałem okazję napić się żółtego napoju, który – jak się później okazało – nazywał się tedż (tej) i był tradycyjnym napojem

wyrabianym z miodu bądź ze zboża, niezbyt mocnym, pitym zawsze w charakterystycznych szklankach przypominających szklane kule wydłużone z jednej strony do postaci szyjki, coś na wzór naczynia laboratoryjnego – kolby. Restaurację opuściłem po godz. 22.30, pomimo że była noc, droga powrotna do hotelu w nocy nie powodowała we mnie dyskomfortu





*fot. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 5. Wnętrze restauracji Habesha w stolicy w trakcie występów.



*fot. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 6. Występ zespołu w restauracji Habesha.



Na drugi dzień po wylądowaniu skontaktowałem się także z Polką, która mieszka w Addis Abebie od 13 lat razem z mężem Etiopczykiem, synem małżeństwa Polki i Etiopczyka. Telefon uzyskałem od mojego znajomego, przyjaciela wspomnianej rodziny. W trakcie rozmowy telefonicznej, na którą Pani Karolina czekała, zostałem zaproszony na wigilię do ich domu. Z przyczyn oczywistych upewniłem się czy to nie będzie problem, ponieważ nawet się nie znamy. Zostałem zapewniony, że jestem mile widziany, a dodatkowo na wigilii będą obecni także przyjaciele i znajomi przyjaciół, i że będzie bardzo międzynarodowo.



*fot. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 7. Wnętrze restauracji Habir Ethiopia Cultural Restaurant.

24 grudnia spotkałem się jeszcze z pracownikiem firmy turystycznej, mającej siedzibę w Kaleb Hotel, który – jak się okazało – jest jej właścicielem. W trakcie rozmowy otrzymałem kilka wariantów wycieczek jedno-, dwudniowych wraz z cenami. Nazwy danych miejsc mówiły mi niewiele, ponieważ nie miałem czasu przygotować się do zwiedzania Etiopii przed wyjazdem. Podkreśliłem jednocześnie, że mniej jestem zainteresowany zwiedzaniem kościołów czy muzeów, a bardziej ludźmi, przyrodą i kulturą. Zawsze wychodziłem z założenia, że aby poznać dany kraj, należy przede wszystkim spróbować jedzenia, alkoholu i posłuchać



muzyki. Te trzy rzeczy najwięcej mówią o ludziach. Nie dokonałem od razu wyboru, materiały zabrałem ze sobą do przemyślenia i dyskusji z Karoliną i Jakubem w trakcie wigilii.

Bez wchodzenia w szczegóły muszę przyznać, że była to najciekawsza wigilia w moim życiu. Siedziałem przy stole z obcymi ludźmi w stolicy Etiopii, obok stała choinka, leciały polskie kolędy, były polskie potrawy a przy stole siedzieli obywatele Polski, Włoch, Etiopii, Niemiec i Madagaskaru, oczywiście różne małżeństwa mieszane. Dodatkowo mówiono przynajmniej siedmioma – ośmioma językami obcymi. Obok mnie siedział przesympatyczny przyjaciel rodziny Niemiec o imieniu Rajmund, który na co dzień jest wicedyrektorem szkoły średniej w Niemczech, uczy muzyki oraz matematyki. Urodził się i wychował w Etiopii i kocha ten kraj. Pokazując zdjęcia, opowiadał o pięknych północnych rejonach Etiopii. Dodatkowo ocenił ofertę Adisa, mówiąc, jak należy zmodyfikować trasę, aby była to udana wycieczka.

Po kilkudniowym włóczeniu się po stolicznych ulicach, kawiarniach i restauracjach, bardzo się cieszyłem na myśl o wyjeździe poza miasto. 25 grudnia ostatecznie ustaliłem z Adisem plan wycieczki, która miała przebiegać na południe kraju, trwać trzy dni i kosztować 360 dolarów. W cenie miało być wszystko poza drugim noclegiem i trzecim dniem wyżywienia. Przed samym wyjazdem nie znałem wszystkich szczegółów, wiedziałem tylko, że mam zobaczyć park narodowy, duże jezioro i tutejszych ludzi z różnych plemion. Szczerze mówiąc, jestem przekonany, że Adis też nie opracował wszystkich szczegółów, planując pewne kwestie doraźnie. Zauważyłem także, że mój plan poznawania ludzi i ich normalnego życia odpowiadał mu bardziej niż typowe objeżdżanie muzeów i kościołów.

Wreszcie 26 grudnia wyjazd z Adisem poza miasto. Ciekawy był już sam wyjazd z miasta, który trwał bardzo długo, stolica liczy bowiem co najmniej 5 mln ludzi (oficjalnie 3 mln). Po drodze mijaliśmy gigantyczne osiedle mieszkaniowe w budowie, ciekawe było to, że nikt tam nie mieszkał, nie było widać także budowlańców. Prawdopodobnie kolejna ofiara defraudacji. Było to przynajmniej kilka tysięcy mieszkań w nowoczesnych blokach mieszkaniowych. Po drodze mijaliśmy nowoczesną linię kolejową wybudowaną przez Chińczyków, prowadzącą do portu w Dżibuti. Przez jakiś czas jechaliśmy autostradą także wybudowaną przez Chińczyków. Ciekawe jest to, że opłata za autostradę naliczana jest nie od liczby przejechanych kilometrów, a od czasu pobytu na niej, a dodatkowo nie ma limitu prędkości. Na pierwszy rzut oka może się to wydawać śmieszne, jednak, jeżeli spojrzymy na stan techniczny wielu etiopskich pojazdów, to nasze postrzeganie tego faktu się zmienia. Taki system poboru opłat zniechęca do wjeżdżania na drogę starych samochodów,

których stan techniczny jest niepewny, a ewentualna awaria może spowodować zablokowanie drogi.

Po około godzinie dojeżdżamy do pierwszego większego miasta o nazwie Debre Zeit lub Bishoftu. Wokół miasta jest kilka jezior, pozostałości po kraterach wulkanów. Adis zatrzymał samochód przed jednym z hoteli, którego nazwa to Pyramid Hotels&Resorts. Hotel został zbudowany na zboczu stromego stoku prowadzącego do jeziora. Powiedzieć hotel, to jakby nie powiedzieć. Wspaniale wyposażony czterogwiazdkowy hotel – spa, o standardzie naszych czterech-pięciu gwiazdek. Dane hotelu to: Pyramid Hotels&Resorts, tel. +251-114-331-555, +251-930-107-551/52, nazwisko głównego menagera: Shewanch Kinfu (mówi po angielsku). Hotel, jak widać na zdjęciach, posiada absolutnie wszystko, aby spędzić miło czas, podziwiając piękne widoki, w tym: basen, saunę, pokój masażu, sale konferencyjne, pokój zabaw dla dzieci, kino, siłownię, internet bezprzewodowy. Bardzo smaczna kuchnia, czego miałem okazję popróbować podczas śniadania, na które zostałem zaproszony.



Zdjęcie 8. Widok z tarasu hotelu Pyramid na jezioro.

Widoki z tarasu widokowego na jezioro są niewiarygodnie uspakajające. Obsługa bardzo profesjonalna na każdym kroku, cena za najtańszy pokój standardowy zaczyna się od 87 dolarów (poniedziałek – czwartek) do 109 (piątek – niedziela), cenę można negocjować przy większej liczbie dni pobytu. Najdroższy pokój to analogicznie 164 dolary



i 197 dolarów. W zależności od dnia tygodnia cena może ulegać nieznacznej modyfikacji. Obok hotelu trwały prace budowlane nad drugą częścią hotelu o standardzie pięciu gwiazdek. Muszę podkreślić, że po obejrzeniu tego hotelu miałem poczucie zmarnowania przynajmniej dwóch dni, podczas których przebywałem w Addis.



Zdjęcie 9. Wnętrze restauracji hotelu Pyramid.



Zdjęcie 10. Wnętrze pokoju hotelu Pyramid.



*fot. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 11. Basen hotelu Pyramid.

Po zjechaniu z autostrady i opuszczeniu miasta Bishoftu krajobraz zaczął się stopniowo zmieniać na bardziej rolniczy. Dominował widok skromnych, głównie okrągłych domów rolników. Co jakiś czas mijaliśmy większą wieś ze straganami przy drodze lub mniejsze miasteczko. Jeżeli chodzi o przyrodę, to dominowały akacje oraz osiołki, służące do transportu głównie wody. Zresztą problem z dystrybucją wody jest w Etiopii jednym z zasadniczych problemów. Według opinii moich rozmówców, nawet jeżeli ktoś wybuduje studnie, to cała jej infrastruktura z automatu staje się własnością państwa, a za wodę trzeba płacić. Bardzo często po drodze można było spotkać naturalne zbiorniki wodne, w których w tym samym czasie poily się zwierzęta, kobiety prały odzież, a inne osoby nabierały wodę do picia. Adis stwierdził, że to normalna praktyka. Bardzo często do oczyszczania wody używa się liści drzewa przypominającego baobab. Liście te dynamicznie miesza się z wodą, a ich zadaniem jest absorbcja części zanieczyszczeń wody. Następnie pojemnik z wodą odstawia się na jakiś czas, zanieczyszczenia opadają, a woda staje się zdatna do picia. Przez całą drogę widać było także linie energetyczne, które według Adisa łączą tylko większe miasta, pomijając wsie. Zresztą nagłe wyłączenia prądu były praktyką powszechną nawet w stolicy. Większość hoteli czy restauracji posiadała swoje agregaty. Na każdym kroku było widać zwierzęta hodowlane, krowy, kozy i owce. Raz na jakiś czas można było spotkać także duże stada wielbłądów, co robiło ogromne wrażenie.





Zdjęcie 12. Rolnik w trakcie młócenia zboża.

Pierwszy przystanek zrobiliśmy obok rolnika, który przy pomocy wołów młócił zboże, z którego robi się indzere. Młócenie zboża przy wykorzystaniu wołów pokazuje, na jakim poziomie zatrzymało się rolnictwo, aczkolwiek widziałem także traktory Lamborghini i New Holland. W trakcie młócenia zboża krowom wiązano pyski, aby nie podjadały w trakcie pracy. Obok suszyło się krowie łajno, wykorzystywane jako opał.



Zdjęcie 13. Widoki w trakcie jazdy na południe.

Kolejny przystanek to targ rybny koło jeziora Koka. Targ rybny to dużo powiedziane. Znajdowało się tam kilka miejsc, gdzie kilkuletni chłopcy sprawiali ryby, stoiska z pomidorami i cebulą oraz arbusami. Kilka metrów dalej stało kilkadziesiąt ogromnych ptaków marabu,



które cały czas trzymały się blisko ludzi. Ciekawe, że gdy chciałem podejść blisko, natychmiast się odsuwały, utrzymując bezpieczny dystans. Podobno ptaki te cały czas towarzyszą rybakom, wskazując ławice ryb – z drugiej strony mogą oczekiwać resztek ryb po sprawieniu. Współpraca ta układa się podobno bardzo dobrze i nikt nie robi krzywdy tym ptakom. Robienie im zdjęć wywoływało u Etiopczyków uśmiech i brak zrozumienia, dla nich to takie oczywiste...



Zdjęcie 14. Widoki w trakcie jazdy na południe.



Zdjęcie 15. Targ rybny i chłopcy przy pracy.



W trakcie, gdy ja zachwyciałem się widokami, Adis zakupił arbuza za cenę 25 birr oraz duży worek pomidorów i worek cebuli, za łączną kwotę 140 birr. Stwierdził, że to się przyda w trakcie wizyty we wioskach: dając to tubylcom, będziemy mogli robić zdjęcia i zwiedzać zagrody. Po drodze zostaliśmy jeszcze zatrzymani przez policję i przeszukano nasz samochód – jak powiedział Adis – w poszukiwaniu broni czy nieoclonionych towarów z Kenii.



Zdjęcie 16. Autor na tle grupy marabutów.

Okolo południa zatrzymaliśmy się w lokalnym hotelu Masarat na obiad. Zjedliśmy tam smaczną rybkę w kawałeczkach, napiliśmy się pysznej kawki etiopskiej oraz piwa. Lokalne marki piwa są bardzo dobre, jak np. st'George, habesha czy abadel. Ceny wahają się w granicach 30 birr. Nauczony doświadczeniem misyjnym po każdym posiłku, przede wszystkim mięsnym, przepijałem kilkoma łykami wódki. W Etiopii moim alkoholem medycznym... był lokalny gin Baro's, w smaku średni, ale nie bolała po nim głowa... no i jeszcze żyję... Wchodząc na teren hotelu, ukloniłem się kilku osobom, już siedzącym w ogródku. Wystarczy się uśmiechnąć, uklonić, położyć rękę na sercu i natychmiast ma się ludzi po swojej stronie. W przypadku takiego łysego faceta jak ja... to bardzo ważne, aby pokazać, że jestem przyjacielem. Bez względu na to, gdzie jesteśmy i czy znamy język lokalny czy nie, pewne gesty są uniwersalne, tzn. uśmiech, łagodne spojrzenie i życzliwość w oczach. Do takich państw



jak Etiopia nie można je chać i porównywać wszystkiego do warunków polskich. Zresztą, gdzie jest napisane, że nasze rozwiązania są lepsze od innych. Zawsze wychodzę z założenia, że podróżuję po innych państwach, aby obserwować, pytać, uczyć się i poszerzać horyzonty. Dwutygodniowa wycieczka do Etiopii daje więcej niż przeczytanie o niej książki o objętości 1000 stron.

Kolejnym przystankiem była wieś, gdzie miałem okazję pograć z etiopskimi chłopcami w siatkówkę. Jeden z chłopców trzymał siatkę, siedząc na drzewie, a reszta łącznie ze mną grała w siatkówkę. Oczywiście staraliśmy się grać zgodnie z zasadami na trzy. Piłka niestety nie była najlepszej jakości. Była to zniszczona piłka wypchana kawałkami szmat i folii, ale nie przeszkadzało nam to dobrze się bawić. Nie wiedziałem, czy ja byłem dla nich większą atrakcją, czy oni dla mnie. Ostatni przystanek tego dnia to wizyta w rezerwacie przyrody, gdzie mogłem zobaczyć na wolności strusie afrykańskie, antylopy i dziki afrykańskie. Rezerwat nie był jakiś wielki, ale i tak możliwość zobaczenia tych zwierząt w otoczeniu akacji i w pełnym słońcu, na wolności, robiła wrażenie.



Zdjęcie 17. Autor w trakcie gry w siatkówkę z etiopskimi dziećmi.





Zdjęcie 18. Autor w parku narodowym.

Po drodze około 17.00 zostaliśmy zatrzymani przez policję drogową, która chciała odebrać Adisowi prawo jazdy i tablice rejestracyjne. Okazało się, że turyści nie powinni podróżować po Etiopii po godzinie 17.30. Ostatecznie Adis „dogadał” się z policjantami, chociaż ryzyko zakończenia podróży gdzieś w polu było duże. Zresztą policjant miał już w ręku kilka tablic rejestracyjnych, najpewniej odebranych innym kierowcom. Według Adisa przepis jest martwym zapisem i nie zamierza on kończyć podróży w czasie, kiedy jest najlepsze światło do robienia zdjęć. Może po prostu policjanci na koniec dnia chcieli sobie dorobić... tego już się nie dowiem.



Pierwszą noc spędziliśmy w dużym mieście Halaba, cena za pokój 600 birr. W pierwszym hotelu, w którym Adis planował nocleg, nie wpuszczono nas, ponieważ nocowali tam jacyś ważni politycy. Kilkaset metrów dalej był kolejny hotel, w którym ostatecznie zatrzymaliśmy się na noc. Kiedy dojechaliliśmy, było już ciemno, a temperatura bardziej zachęcała co spaceru i piwka w barze niż do spania. Kiedy oglądałem pokój, zauważyłem, że nie ma tam moskitiery, a dodatkowo okno w łazience było otwarte. Poprosiłem kolegę z obsługi o jego zamknięcie, ale było to technicznie bardzo trudne. Przez chwilę nawet utrzymywałem go na rękach, aby mógł je spokojnie zamknąć, ale i to się nie udało. Było to o tyle istotne, że teren ten był niżej położony niż stolica Etiopii i istniało ryzyko malarii. Musiałem też zabić kilka już obecnych w pokoju komarów. Na koniec stwierdziłem, że nie ma co panikować, skoro i tak nic nie mogę zrobić, więc należy się dobrze wysmarować sprayem na komary. Po wypakowaniu plecaka udaliśmy się z Adisem na kolację, do lokalnego baru pełnego tubylców. Po zjedzeniu mięsa i indyżery przepiłem zwyczajowo etiopskim ginem i wróciliśmy do hotelu. Wracając, namówiłem Adisa, abyśmy wzięli taksówkę – tzw. tuk-tuka, czyli trzykołową taksówkę rodem z Indii. Zawsze chciałem się tym przejechać, za podróż około dwóch kilometrów zapłaciłem 20 birr.



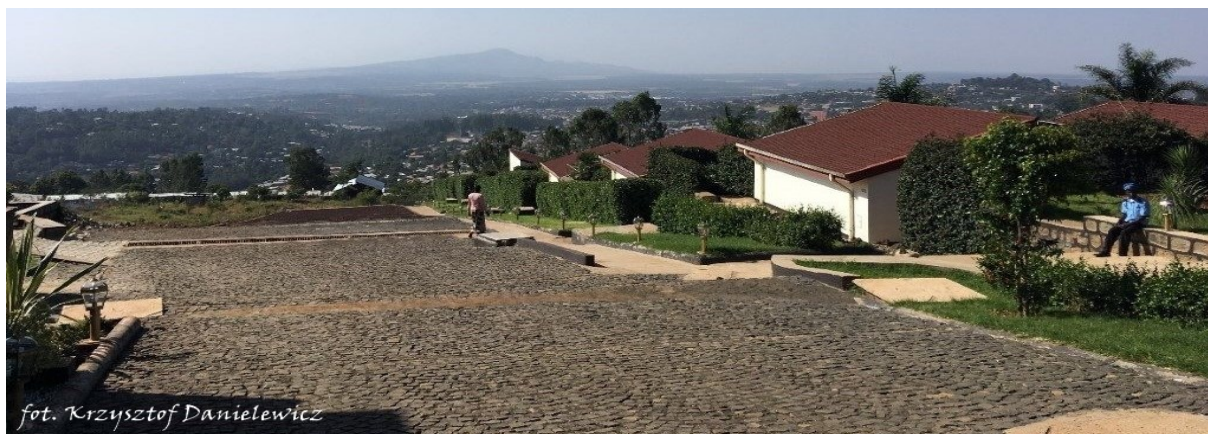
Zdjęcie 19. Hotel Abebe Zeleke w Sodo.

Następnego dnia zjedliśmy śniadanie w hotelu Abebe Zeleke International Hotel Wolaita Soddo. Nazwisko managera to Daniel Lakew, tel. do hotelu +251912236839, +251115574255, +251118685728, e-mail [info@abebezelekeinternationalhotel.com](mailto:info@abebezelekeinternationalhotel.com), strona internetowa: [www.abebezelekeinternationalhotel.com](http://www.abebezelekeinternationalhotel.com). Bardzo duży i ładnie położony hotel, odwiedzany



w dużej części przez pracowników ONZ, którzy pracowali niedaleko. Dodatkowo należy zwrócić uwagę na pyszną kuchnię, wyśmienitą kawę i trudny do opisanego przepyszny smak soku z mango.

Wcześniej wjechaliśmy zostawić rzeczy w hotelu, gdzie mieliśmy spędzić drugą noc, tj. Lewi Hotels and Resort, tel. +251-461-808-080, +251-930-280-000, e-mail: info@lewihotelandresort.com, tel. do recepcji: +251-930-278-980. Hotel znajdował się na górze dominującej nad miastem Sodo, składał się z restauracji i czterech rzędów równoległych apartamentów o standardzie czterech gwiazdek. Z terenu hotelu był przepiękny widok na całe miasto. Przyznaję, że standard czterech gwiazdek w tym przypadku był zaniżony. Nigdy wcześniej nie miałem przyjemności spać w tak luksusowych warunkach. Pokój i łazienka były ogromne, wszystko dopracowane w najmniejszym calu, jacuzzi w łazience, przy łóżku szafka z całym systemem elektronicznego sterowania światłem... i wszystko za 60 dolarów.



Zdjęcie 20. Hotel Lewi w Sodo i widok na miasto.



Zdjęcie 21. Pokój Hotelu Lewi w Sodo.

Po zjedzeniu śniadania udaliśmy się w dalszą trasę. Po drodze mijaliśmy m.in. miasto Szaszamene, znane z tego, że w jego okolicach na jednej z większych działek zamieszkują rastamanie, wyznawcy ruchu religijnego rastafari, który narodził się na Jamajce, uznający Etiopię za ziemię obiecaną. Jednym z wyznawców ruchu był Bob Marley, głównie za sprawą swojej żony Rity. Rita z kolei została wyznawczynią religii pod wpływem wizyty cesarza Etiopii Hajle Syllasje I na Jamajce w Kingston w kwietniu 1966 r. Filozofia i styl życia wyznawców ruchu charakteryzuje się m.in. wegetarianizmem, przestrzeganiem diety czy zapuszczaniem dreadów. Od 1968 r. Marley brał udział w corocznych spotkaniach nocnych, podczas których rastamani wspólnie się modlili przy akompaniamencie bębnow, upamiętniając wizytę cesarza na Jamajce.



Zdjęcie 22. Miejsce wyznawców ruchu rastafari w Szaszamene.

Na początku lat siedemdziesiątych Marley znalazł się pod wpływem nowo powstałego odłamu ruchu rastafari – Dwunastu Plemion Izraela. Ideologia ta zakładała podział wyznawców według miesiąca urodzenia na dwanaście grup (inaczej „plemion”, od dwunastu synów Jakuba). Podobnie jak większość rastamanów, Marley był zwolennikiem używania marihuany



jako sakramentu. Według Adisa osoby zamieszkujące na tej działce w dalszym ciągu żyją zgodnie z tymi zasadami, a policja nigdy w niczym im nie przeszkadza.

Duże wrażenie zrobił na mnie także dom nieformalnego króla plemienia Wolaita. Plemię zamieszkuje głównie tereny wiejskie i liczy około 2,5 mln. ludzi. Po drodze można było zauważyć bardzo długie kolejki po paliwo lub zamknięte stacje benzynowe. Według Adisa pod koniec miesiąca to typowe zjawisko, wynikające z plotek o podwyżkach paliwa. Stacje benzynowe mają paliwo, ale go nie sprzedają, bo czekają na nowy miesiąc w nadziei na uzyskanie lepszej ceny. Sami musieliśmy kupować paliwo na czarnym rynku, płacąc około 37 birr zamiast 27. Po drodze zakupiliśmy także banany od ludzi sprzedających przy drodze. Za dziewięć bananów zapłaciłem 10 birr.



Zdjęcie 23. Dom nieformalnego króla plemienia Wolaita.





Zdjęcie 24. Wypalanie czajników do przygotowywania tradycyjnej kawy etiopskiej.

Głównym miastem docelowym, w którym miałem poznać lokalne zwyczaje i zwiedzić rynek, było miasteczko Gesuba. Po drodze zatrzymaliśmy się jeszcze przy małym domku, którego właścicielka wytwarzała różne przedmioty z gliny, w tym dzbanki do kawy. Wytwarzała je całkowicie ręcznie bez żadnego koła garncarskiego, formując je rękoma. Co ciekawe, zawsze były one idealnie okrągłe, a czas wytwarzania jednego to nie więcej niż 10 minut. Następnie wypalała je na zewnątrz budynku, opalając ogień krowim łajnem – pełna ekologia. Jestem szczęśliwym posiadaczem jednego z nich.

Kolejny przystanek to wioska Wachiga, gdzie odwiedziliśmy lokalny punkt szczepień oraz zrobiliśmy wiele ciekawych zdjęć. We wsi miałem możliwość prześledzić cały proces powstawania domów, które są budowane przy wykorzystaniu tylko drewna i błota. Drewno pochodzi ze specjalnego drzewa, którego nie zjadają termity, dzięki czemu domy są trwałe. Zaprawa to mieszanina błota, trawy i specjalnego oleju, dzięki czemu po wyschnięciu domy są bardzo trwałe i nie rozpuszczają się pod wpływem ulewnych deszczów.





Zdjęcie 25. Autor z mieszkańcami wsi Wachiga.

Niestety dachy nie są już budowane z trawy, a układana jest blacha falista, która strasznie szpeci zabudowę wiejską w Etiopii, a dodatkowo nagrzewa powietrze wewnątrz. Ludzie wszędzie bardzo mili i chętni do pozowania do zdjęć. Na zakończenie wizyty we wsi zaproponowałem Adisowi, że może zostawię jakieś pieniądze w lokalnym sklepie, a sklepikarz poczęstuje dzieci słodyczami. Adis stwierdził, że to nie ma sensu i lepiej kupić zeszyty, które następnie nauczyciele rozdadzą lokalnym sierotom. Dokładnie tak zrobiliśmy, a zakupione zeszyty zanieśliśmy do szkoły.

Chwilę później zatrzymaliśmy się jeszcze przy tradycyjnym afrykańskim okrągłym domu, ponieważ bardzo chciałem mieć przy nim zdjęcie i zobaczyć, jak ludzie żyją wewnątrz. Po przywitaniu się z mieszkańcami i wymianie uprzejmości bez problemu zaproszono nas do środka. Wnętrze domu bardzo skromne, a dużym zaskoczeniem były dla mnie zagrody z krowami w domkach. Pomieszczenie gospodarcze od mieszkalnego było oddzielone tylko plecioną ścianą. Ciekawe było to, że pomimo obecności zwierząt wewnątrz nie wyczuwało się tam żadnego przykrego zapachu.





Zdjęcie 26. Technologia budowy domów.



Zdjęcie 27. Tradycyjny okrągły dom etiopski zbudowany tylko z naturalnych materiałów.



W końcu dotarliśmy do Gesuba, gdzie spędziliśmy całe popołudnie i wieczór. Wizytę zaczęliśmy od odwiedzin u bardzo dobrego, według Adisa, krawca, gdzie musiałem naprawić swoje ulubione spodnie. Zostały zniszczone podczas upadku w trakcie robienia zdjęć dnia poprzedniego. W czasie, gdy krawiec sprawiał się ze zleceniem, my spędziliśmy czas w lokalnym barze, gdzie podawano m.in. typowe dla Etiopii surowe mięso. Pijąc piwo, rozmawialiśmy z lokalną ludnością oraz kolegą Adisa, który jest właścicielem punktu sprzedaży drewna. Nie muszę kolejny raz przypominać, że wszyscy byli serdeczni, otwarci i przyjacielscy.

Spotkaliśmy tam m.in. chłopca o imieniu Degudansa, który mieszkał na ulicy. W trakcie rozmowy Adis włożył mu do buzi kawałek mięsa, co nie jest niczym dziwnym w Etiopii. Później w trakcie rozmowy okazało się, że chłopiec do niedawna handlował fasolą, interes jednak nie wypalił, bo – jak to określił Adis – chłopak przejadł swój kapitał. Okazało się, że handlując fasolą, był głodny i co chwilę podjadał sprzedawany towar i w konsekwencji przejadł wszystko. W związku z powyższym zrzuciliśmy się z Adisem i daliśmy chłopakowi 110 birr. Adis udzielił mu jednak wcześniej instruktażu, że za 30 birr ma sobie wynająć mieszkanie, które kosztuje 15 birr na miesiąc, za kolejne 50 – kupić towar na handel, a resztę ma wydać na jedzenie. Obiecał, że jak wrócimy następnym razem, to sprawdzi rezultaty. Jeżeli sobie poradzi, to mu dołoży kolejną sumę. Było to bardzo miłe, a u chłopaka w oczach widać było radość i łzy.



*fot. Krzysztof Danielewicz*  
Zdjęcie 28. Wnętrze baru w Gesuba, z mojej lewej strony mój przewodnik Adis i jego kolega.



Zdjęcie 29. Chłopiec o imieniu Degudansa.

Po odebraniu spodni pojechaliśmy kilka ulic dalej do małego zaprzyjaźnionego hotelu, gdzie miałem zobaczyć cały proces parzenia kawy po etiopsku. Parzeniem kawy w Etiopii zajmują się dzieci, więc i dla mnie kawę przygotowywały dwie dziewczynki i ich brat. Jedna z nich przyniosła zieloną kawę, którą na moich oczach wypaliła w garnku nad ogniem, następnie chłopak zmielił ją stalowym prętem w stalowej rurze. Tak przygotowana kawa została wsypana do specjalnego tradycyjnego czajnika, w którym znajdowała się gotująca już woda, i po czterech – pięciu minutach kawa była gotowa. W Etiopii kawę podaje się ze specjalnym suszem drzewa kadzidłowca, jednocześnie wrzucanym do specjalnego naczynia, na którym jest żar, który daje zapach przypominający polskie kościelne kadzidło. Oczywiście nie byłbym sobą, gdybym nie zakupił od gospodyni dokładnie tego czajniczka, w którym dzieci przygotowywały kawę.



Zdjęcie 30. Zestaw do parzenia kawy.

Po wszystkim poszliśmy ponownie w rejon baru, gdzie w tym czasie zgromadziły się setki osób, które przybyły z okolicznych wsi na targ. Było to bardzo ciekawe



doświadczenie – widzieć tych wszystkich ludzi, towary, którymi handlowali, oraz te cudowne kolory. Magia... Bez problemu wszędzie mogłem robić zdjęcia, a ludzie byli bardzo sympatyczni. Dzieci trochę przeszkadzały, ale Adis co chwile je rozganiał. Miałem m.in. okazję spróbować trzciny cukrowej, która wcale nie jest mocno słodka, ale dla ludzi w Etiopii to jest słodycz. W drodze powrotnej do hotelu w Sodo zatrzymaliśmy się na kilka minut na innym targu, robiąc zdjęcia. Przez całą trasę widać było setki osób, które pieszo wracały z targu. Należało bardzo uważać, ponieważ ludzie przemieszczali się poboczami, a z oczywistych powodów droga nie była oświetlona, nie mieli oni też naturalnie kamizelek odblaskowych.



Zdjęcie 31. Targowisko w Gesuba.

Kiedy wracaliśmy wieczorem do hotelu, terenu strzegł ochroniarz z kałasznikowem w ręku, więc spałem spokojnie. Wieczorem zjedliśmy jeszcze kolację i wypiliśmy kilka piw. W trakcie kolacji wyłączyli prąd, ale szybko można było usłyszeć agregaty prądotwórcze i prąd wrócił. Rano po śniadaniu wyruszyliśmy w dalszą podróż.



Zdjęcie 32. Targowisko w Gesuba.

Po opuszczeniu hotelu udaliśmy się w kierunku północnym w kierunku jeziora Ziwey. Po drodze od razu zauważyłem wiele osób idących poboczem drogi w odświętnych strojach. Na moje pytanie, czy to jakieś święto, Adis odpowiedział, że w tych dniach odbywa się coś na wzór naszego odpustu, na cześć św. Gabriela. Święto trwa trzy dni i w tym czasie ludzie spędzają je razem na odpustach, świętując, dziękując za łaski i prosząc o kolejne, składając datki na rzecz kościoła, a wieczorem i nie tylko bawią się dobrze, popijając alkohol. Kilkanaście minut później dotarliśmy do jednego z takich miejsc. Po prawej stronie drogi znajdowała się nieduża polana, kościół, a za nim mały cmentarz. Adis zaproponował, żebyśmy się zatrzymali i zobaczyli z bliska, jak przebiega uroczystość. Ludzi wokół było tysiące i szybko ich liczba się zwiększała. Adis zakupił kilka świeczek, żebyśmy wyglądali na pielgrzymów, a nie na turystów, którzy tylko robią zdjęcia.





Zdjęcie 33. Festyn z okazji dnia św. Gabriela.

Bliżej kościoła mnożyło się od małych, byle jakich straganów, gdzie sprzedawano różne produkty lub które służyły za małe bary. W jednym z nich się zatrzymaliśmy i Adis zakupił dwie „menzurki” tedżu oraz gotowaną fasolę. Widząc, że sprzedawca cały alkohol trzymał w wielkiej plastikowej beczce, z której zwykłym wiadrem plastikowym nalewał napój do stalowego czajnika, a następnie do „menzurek”, miałem wątpliwość, czy powinienem to pić. Adis powiedział, że mogę, ale tylko symbolicznie. Po kilku minutach siedzenia i wypiciu dwóch małych łyków zostawiliśmy alkohol i poszliśmy w stronę kościoła. Niestety, tłum niewiarygodnie gęstniał i w rejonie bramy stwierdziliśmy, że dalsze przepychanie nie ma sensu. Widziałem, jak obok bramy stali księża i zbierali ofiary, które ludzie rzucali na koc rozpostarty na ziemi. W zamian otrzymywali błogosławieństwo. Zdążyłem zrobić jeszcze kilka zdjęć nagrobków i osobom, które siedziały nieopodal jak na pikniku. Święto to trwa trzy dni i ci wszyscy ludzie przez cały ten czas tam siedzą, jedzą, piją i się bawią. Gołym okiem było widać, że jest to bardzo ważne dla nich święto, i to nie tyle religijnie, a społecznie.

Po drodze mijaliśmy wiele ciekawych i różnorodnych domów. Adis oznajmił, że dotychczas odwiedziliśmy obszary zamieszkałe przez ludzi z takich plemion, jak: Arsi, Siedama, Halaba, Wolayta, Silte i Gurage. Duże wrażenie robią tradycyjne okrągłe i malowane, głównie przy wejściu, domy plemiona Silte.



*fot. Krzysztof Danielewicz*  
Zdjęcie 34. Malowane domy plemiona Silte.

Co jakiś czas widać na przemian małe kościoły i meczety. Dopiero przejeżdżając przez duże miasto Worabe, trudno byłoby nie zauważyć ogromnego meczetu ufundowanego przez Arabię Saudyjską. Widać też wielu muzułmanów w tradycyjnych strojach oraz kobiety z całkowicie zakrytymi ciałami, na wzór salafi z Arabii Saudyjskiej. Adis na ich widok nie krył zdenerwowania, twierdząc, że tego typu obrazy nie są typowe dla Etiopii.





Zdjęcie 35. Meczet w Worabe.

Przejeżdżając przez jedną z większych miejscowości Worabe, musieliśmy ustąpić drogi pędzącej bardzo szybko karetce pogotowia (toyota terenowa). Około kwadrans później zobaczyliśmy tę samą karetkę całkowicie rozbity na drzewie, a wokół wiele osób. Z tego, co widziałem, to raczej nikt nie przeżył, zastanawiałem się tylko, czy karetka jechała po pacjenta, czy z pacjentem.



Kolejnym dużym miastem była Butajira – stolica rejonu ludzi Gurage. W mieście zrobiliśmy sobie przerwę na obiad. Wybraliśmy bardzo duży hotel Rediet, tel. +251461150803, +251912653030, kom. +251911994578, strona internetowa [www.rediethotel.com](http://www.rediethotel.com), adres e-mail: [rediethotel@gmail.com](mailto:rediethotel@gmail.com). Ceny pokoi: pojedynczy – 48 dolarów, dwójka – 69 dolarów, podwójny – 84 dolary. Hotel posiada pokoje, które mogą pomieścić ponad 50 osób, dodatkowo serwuje kuchnię europejską i tradycyjną. Można usiąść od strony ulicy na tarasie lub z tyłu za hotelem, gdzie znajduje się zadbane ogród i jest całkowity spokój. Widać było grupę turystów z Hiszpanii. Ceny w restauracji bardzo dobre: pieczona jagnięcina 198 birr, sałata 63 birr, kawa 14 birr, piwo Bedele Special 25 birr.



*fot. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 36. Recepcja hotelu Radiet w Butajira.





*fot. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 37. Autor na tle fałszywego bananowca i papai.

Po drodze zatrzymaliśmy się jeszcze przy małej wsi, w której mieszkańcy zbierali na polu pomidory i cebule. Wszyscy pracowali tam wspólnie, a po zakończonym zbiorze uczeni dzieliли się plonami. Cena dużej skrzynki pomidorów na lokalnym targu to 250 birr.



Spróbowałem pomidora i cebuli, pomidor nie zrobił wrażenia, za to cebula była smaczna i miała bardzo wyrazisty smak. Po drodze zauważyłem, że przy każdym domu rosną bananowce.

Adis wyjaśnił i pokazał różnice pomiędzy bananowcem, który daje owoce, i tzw. fałszywym bananowcem, który owoców nie daje. Różnica w wyglądzie zewnętrznym polega głównie na tym, że fałszywy bananowiec ma bardzo długie i proste liście, ustawione wyraźnie pionowo wobec pnia. Fałszywe bananowce, pomimo tego, że nie dają owoców, są bardzo użyteczne. Każdy szanujący się dom musi takie drzewa posiadać, inaczej rolnik uznawany jest za marnego gospodarza, a jego syn ma małe szanse na zainteresowanie u płci przeciwnej. Fałszywe bananowce są swego rodzaju polisą ubezpieczeniową na wypadek suszy. Roślina ta potrafi przetrwać nawet kilkuletnie braki wody, gromadzi ją bowiem sobie w dużych ilościach, a dodatkowo prawie każda jej część może być w taki czy inny sposób zjedzona. Miałem okazję zjeść chleb z tej rośliny, który ma postać twardego i płaskiego placka o grubości około 4 mm. W smaku specyficzny, niespecjalnie smaczny. Fragmenty fałszywego bananowca są także wykorzystywane do budowy domów, po zmieszaniu z glębą i trawą.

Niedaleko od jeziora Ziwey teren zaczynał opadać, pojawiały się wielkie równiny porośnięte rzadkimi akacjami. Piękny widok, człowiek miał ochotę usiąść przy drodze i patrzeć w dal.



*fot. Krzysztof Danielewicz*  
Zdjęcie 38. Okolice Ziwey.

W końcu dojechaliśmy do miasta Ziwey i jeziora o tej samej nazwie. Po wykupieniu jednego z wariantów wycieczki po jeziorze za 860 birr popłynęliśmy w półtoragodziny rejs. Muszę od



razy nadmienić, że już sam dojazd do przystani był interesujący, wszędzie dużo ptaków, w tym na jednym z drzew kilkadziesiąt majestatycznych marabu. Etiopczyk, który sprzedawał nam bilety, był przy okazji przewodnikiem po jeziorze, mówił świetnie po angielsku. Rejon przystani był trochę zaniedbany, wszędzie leżały plastikowe butelki. Łódź stalowa, duża, napędzana silnikiem spalinowym. Z tego, co mówił Adis, mieliśmy zobaczyć hipopotamy, wiele ptaków i może aligatory. Po odbiciu od brzegu Adis oznajmił przewodnikowi, którego znał już od dłuższego czasu, że ma mi wszystko opowiedzieć. Jezioro, po którym płynęliśmy, ma 434 m<sup>2</sup>, 3 km długości i 20 km szerokości oraz 9 km głębokości.



Zdjęcie 39. Marabuty odpoczywające na akacji w Ziwey.

Na jeziorze leży sześć wysp, z czego pięć jest zamieszkałych przez ludzi. Począwszy od największej, są to wyspy: Tulu Gudo, Sedecza, Galila, Debresina, Funduro. Ostatnia, szósta, to wyspa ptaków. Na wyspie Tulu Gudo znajduje się kościół, w którym według lokalnych wierzeń przez 72 lata, w IX w., była przechowywana Arka Przymierza. Ludność zamieszkująca wyspy to Zey, posiadają swój własny język Zaynya, mają swoją własną kulturę. Na dwóch wyspach, tj. Tulu Gudo i Sedecza, funkcjonują szkoły do szóstej klasy. Ludzie zajmują się głównie rybołówstwem i uprawą zboża tef, z którego wyrabia się indżerę.

Kilkaset metrów od brzegu zobaczyliśmy duże stado pelikanów bujających się na falach, a kawałek dalej – kilkanaście odpoczywających na jeziorze hipopotamów. Generalnie było



widać tylko fragment głowy i pleców, reszta ciała była zanurzona w wodzie. Dla kogoś, kto oglądał te zwierzęta tylko w zoo, jak w moim przypadku, oglądanie ich w naturalnych warunkach przyrody to niewiarygodne doznanie. Pływały w odległości około 800 m od brzegu. Gdy podплыliśmy na odległość około 50–60 m, jeden rzucił się w naszym kierunku, dając dwa duże susy. Natychmiast zmieniliśmy kierunek rejsu, a kolega hipopotam się uspokoił. Gdy staliśmy w ich pobliżu, co jakiś czas pojedyncze osobniki się zanurzały i wynurzały w innym miejscu. Nie było widać, aby były zaniepokojone, to raczej my musieliśmy uważać.



Zdjęcie 40. Hipopotam z jeziora Ziwey.



Zdjęcie nr 41. Widok na jedną z wysp jeziora Ziwey.





*fot. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 42. Pelikany na jeziorze Ziwey.



*fot. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 43. Stado ptaków na jednej z wysp jeziora Ziwey.

Jedną z możliwych opcji turystycznych, godną polecenia, związaną z tym miejscem, to wykupienie za kwotę 2400 birr (grupa do czterech osób) całodziennej wycieczki na wyspę Tulu Gudo. Wycieczka obejmuje wejście na największy szczyt na wyspie oraz zwiedzanie kościoła i muzeum. My podpłynęliśmy pod wyspę Galila, obok której jest wyspa ptaków. Po zachodzie słońca wyspa, zarośnięta i przypominająca bezludną, wygląda wspaniale i robi niesamowite wrażenie. Na jej brzegu odpoczywały setki, jak nie



tysiące ptaków. Dopiero na sam koniec zobaczyliśmy małe stado kóz i jednego człowieka z oddali. Ciekawe było też to, że w trakcie rejsu po jeziorze nie przeszkadzały nam absolutnie żadne robaki, muchy czy komary. Po prostu fantastyczne połączenie ciszy i piękna. Wracając do brzegu, mogliśmy podziwiać piękny zachód słońca.

Po zakończeniu rejsu została nam już tylko droga powrotna do Addis Abeby. Po drodze kolejny raz zabrakło nam paliwa i znowu trzeba było uśmiechnąć się do handlarzy. Dwukrotnie nasz samochód był także przeszukiwany przez policję w poszukiwaniu broni lub towarów z przemytu.

Muszę przyznać, że były to najciekawsze trzy dni w moim życiu. Zawsze marzyłem o wyjeździe turystycznym do Afryki, takiej prawdziwej. Myślę, że gdyby nie mój roczny pobyt na misji w Mali, to nie odważyłbym się na prywatny, bez biura podróży, wyjazd do Etiopii. W ciągu trzech dni miałem okazję zobaczyć kilka plemion, posłuchać interesujących historii o ich zwyczajach i nauczyć się wielu ciekawych rzeczy. W zależności od potrzeb i upodobań bez problemu można znaleźć w tym kraju zarówno skromne, niedrogie hoteliki, jak i w pełni wyposażone hotele o europejskim standardzie. Przez ten krótki czas miałem okazję zobaczyć i podziwiać płaskie jak stół krajobrazy, jeziora powulkaniczne, rozległe jeziora, na których zamieszkują ludzie, rzeki, lasy, małe wioseczki i duże miasta.

Na 30 grudnia zostałem zaproszony na niedzielny wyjazd z Karoliną i Jakubem poza stolicę do miasta, które już wcześniej widziałem, tj. Debre Zeit. Wyjeżdżając ze stolicy i jadąc fragmentem drogi ekspresowej, byliśmy świadkami zmasowanej kontroli pomiaru prędkości przez policję. Piszę: zmasowanej, bo proszę sobie wyobrazić około dwudziestu policjantów w sześciu – siedmiu punktach na przestrzeni 5 km. Niestety, i nam się nie udało, Jakub przekroczył prędkość i także został ukarany mandatem. W Etiopii wygląda to trochę inaczej niż u nas. Policjant zatrzymuje kierowcę, który przekroczył prędkość, zabiera mu prawo jazdy, a w zamian pozostawia pokwitowanie. W ciągu dwóch dni należy udać się na komisariat, skąd pochodzili policjanci, i zapłacić mandat. W związku z powyższym ważne jest, aby zapytać policjantów, gdzie znajduje się ich komenda. Z tego, co się później dowiedziałem, Jakub zapłacił około 300 birr. Jest to o tyle ważna informacja, że gdyby ktoś kiedyś wyrobił sobie etiopskie prawo jazdy i zechciał pojechać na południe wynajętym samochodem, to utrata prawa jazdy taki wyjazd uniemożliwi, ponieważ trzeba będzie wrócić



do stolicy po dokument. Generalnie policjanci byli bardzo profesjonalni, a według Jakuba używanie radaru jest tutaj procedurą całkiem nową.

Po wyjeździe z miasta, w odległości około 40 km dojechaliśmy do miejscowości Dukan, do restauracji i hotelu Parrot Traditional Hel, tel.+251911226844, +251911722801. Gdyby ktoś chciał skorzystać, najlepiej dzwonić do przemiłej recepcjonistki Pani Abohesh Degefa, która mówi po angielsku i arabsku, na numer tel. +251913301691. Miejsce bardzo dobre do przenocowania, w osobnych domkach Tukan, w zależności od standardu możemy się przespać za 750 birr (pokój z przedpokojem) lub za 400 birr – tylko pokój. Miejsce godne polecenia, czyste i pięknie zarośnięte fałszywymi bananowcami, które rosną przy każdym z domków. Dodatkowo w centralnym miejscu ośrodka były liczne atrakcje dla dzieci, jak duże zwierzęta wykonane ze specjalnej masy. W restauracji znajdowała się także bardzo duża sala, która wewnątrz była wykonana w tradycyjnym etiopskim stylu. Widać było, że hotel jest wykorzystywany także do organizacji wesel i przyjęć.



Zdjęcie 44. Domki restauracji Parrot.

Miejsce to było znane Jakubowi i innym ludziom, co można było zauważyć po liczbie gości. W restauracji produkują bardzo dobrej jakości też, dowiedziałem się też, że produkuje się go



z miodu, natomiast podobnego koloru alkohol tella produkuje się ze zboża. Rzeczywiście przyniesiono nam trzy rodzaje, w zależności od czasu dojrzewania, do wyboru. Cena butelki też to 150 birr. Oczywiście po degustacji zakupiliśmy odpowiednią ilość tego smacznego i zdrowego napoju. Jedną z butelek wypilem z Adisem w wieczór sylwestrowy gdzieś w hotelu na północ od Adis, ale o tym potem.

Po zjedzeniu posiłku dojechaliśmy do miejsca przeznaczenia, tj. Debre Zeit. W pierwszej kolejności dotarliśmy nad malownicze jezioro powulkaniczne Hora. Na miejscu za 400 birr zafundowaliśmy sobie godzinną wycieczkę łódką. Jezioro bardzo ładnie położone, otoczone stromymi zboczami, pięknie zarośniętymi zielenią. Niestety sam brzeg jeziora był bardzo zaśmiecony plastikowymi butelkami i workami foliowymi. Widać, było, że jezioro jest odwiedzane i wykorzystywane do spacerów czy urządzania sobie pikników. Płynąc łódką, można było obserwować pelikany czy kormorany oraz inne ptaki, pięknie upierzone. Nad zboczem jeziora stoi także jeden z pałaców byłego cesarza Etiopii.

Kolejnym miejscem, które odwiedziliśmy, była restauracja Resort Salayesh, znajdująca się nad brzegiem innego jeziora powulkanicznego Babogaja. Restauracja dodatkowo prowadzi mały hotel, w cenie 550 birr za pokój. Położona jest ona na małym wzgórku, na szczycie którego jest taras z doskonałym widokiem na jezioro i okolice. Teren restauracji jest gęsto zarośnięty różną roślinnością, przez co cały czas czuje się atmosferę tajemniczości oraz przyjemny chłód. Pokoje są raczej o niskim standardzie, ale jest też moskitiera.



*fot. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie nr 45. Widok z tarasu restauracji Resort Salayesh.



Restauracja słynie z tego, że przez wiele lat na jej terenie żył stary kozioł, który pił piwo i inny alkohol bezpośrednio z butelki. Niestety, wszyscy chcieli to zobaczyć i przyjeżdżali w tym celu do restauracji – z tego powodu, a także starości, sześć lat temu kozioł zdechł. Właściciele zdecydowali się go wypchać i siedzi cały czas na jednej z ław. Obecnie żyje tam inny kozioł o imieniu Afro Blondi, pochodzący z gór Bale. Nazwa pochodzi od tego, że jest cały biały, dodatkowo ma bardzo długie futro. Młody kozioł ma swojego opiekuna i jest bardzo zadziorny, o czym miałem okazję przekonać się osobiście.

W restauracji mieliśmy okazję zobaczyć cały proces pędzenia bimbru areke, a także spróbować jego smaku. Pani, która to robiła, chętnie pozowała nam do zdjęć oraz prezentowała wszystkie szczegóły, z degustacją łącznie. Bimber robi z dwunastu rodzajów składników, m.in. z kawy, ziół Adama, czosnku, specjalnych liści na problemy z robakami z drzewa kosso. Proces jest bardzo prosty, a z jednego dzbana zacieru powstaje 1,7 litra alkoholu. Kieliszek bimbru kosztuje 15 birr, butelka to wydatek 300 birr.



Zdjęcie 46. Nowy kozioł Afro Blondi w Resort Salayesh.

Kolejnym miejscem, które chcieliśmy odwiedzić, był luksusowy Kuriftu Resort, który należy do całej sieci Kuriftu. Piszę: chcieliśmy, ponieważ ostatecznie zrezygnowaliśmy. W niedzielę



był tak zwany otwarty bufet. Jednak, aby sprawdzić, co ciekawego serwują, należało najpierw zapłacić 400 birr od osoby i dopiero wtedy pozwolono by nam wejść. W związku z tym stwierdziliśmy, że nie będziemy kupować kota w worku. Ostatecznie obiad zjedliśmy w Resort Salayesh, gdzie atmosfera i obsługa była bardzo profesjonalna.



*fot. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 47. Produkcja bimbru w Resort Salayesh.

Ciekawe, że już po obiedzie na parkingu spotkaliśmy managera z Kuriftu, któremu powiedzieliśmy o naszym niezadowoleniu z obsługi w jego restauracji. Tłumaczył się, że było dużo ludzi. Podkreśliliśmy, że to nieprawda, nie było wcale ludzi, a dodatkowo w recepcji siedziały cztery dziewczyny, które nie wyglądały na specjalnie zapracowane. Generalnie to szkoda, bo restauracja oferowała duży wybór win etiopskich, z których za najlepsze uważam półśłodką Acacie.



Obok Kuriftu było kilka absolutnie luksusowych i wyjątkowo pięknych architektonicznie sklepów, raj dla kobiet i miejsce zakazane dla mężczyzn... Towary były wysokiej jakości i bardzo ciekawie zaprojektowane, głównie odzież, buty czy torebki. Niestety, ceny też były wysokie, co powodowało, że produkty traciły na atrakcyjności. Można było się skusić, jeżeli komuś zależałoby na oryginalnym wzornictwie. Obok sklepów widać było dużą inwestycję budowlaną – budowę wesołego miasteczka o dużym rozmachu.



*fot. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 48. Sklepy Kuriftu w Debre Zeit.



*fot. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 49. Wnętrze jednego ze sklepów Kuriftu w Debre Zeit.



Jednak najładniejszym miejscem, jakie mieliśmy okazję odwiedzić pod koniec dnia, był hotel Babalaya. Położony nad samym brzegiem jeziora Babogaja, znajduje się na kilku poziomach i posiada bardzo wysoki standard. Ceny pokoi to: standardowy – 95 dolarów, dwójka – 107 dolarów, luksusowy – 107 dolarów, natomiast pokój prezydencki – 600 dolarów. Strona internetowa: [www.babogayaresort.com](http://www.babogayaresort.com), e-mail: [babogayaresort@yahoo.com](mailto:babogayaresort@yahoo.com). Hotel absolutnie wart polecenia, spokojne miejsce nad samym jeziorem, a czyste i luksusowe pokoje są warte swojej ceny. Można tam naprawdę odpocząć w świetnych warunkach, wyciszyć się czy wynająć łódkę i popływać po jeziorze.

Debre Zeit to idealne miejsce na niedzielny czy weekendowy wypad dla kogoś, kto mieszka w stolicy. To także świetne miejsce dla kogoś, kto chce znaleźć dobrą bazę wypadową do zwiedzania południa Etiopii i uniknąć zatłoczonej stolicy.



Zdjęcie 50. Wnętrze hotelu Babalaya w Debre Zeit.





*fot. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 51. Widok z restauracji zewnętrznej hotelu Babalaya w Debre Zeit.

W dniach 31.12.2018–01.01.2019 wykupiłem u Adisa za kwotę 330 dolarów kolejną wycieczkę, tym razem na północ od Addis Abeby. Adis stwierdził, że będę pod wrażeniem, bo widoki na północ od miasta są zupełnie inne niż na południu. Wyjechaliliśmy z hotelu około godziny 9.00 i już po niecałej godzinie było widać zupełnie inne krajobrazy niż te widziane wcześniej. Teren zaczynał się wyraźnie podnosić, zaczął pojawiać się także las, gęstniejący w miarę upływu drogi. Widoki zupełnie jak w Polsce. Po drodze mieliśmy okazję zatrzymać się i obserwować kręcenie filmu lub teledysku z udziałem popularnej piosenkarki etiopskiej Selamawit Yohannes.



*fot. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 52. Widoki w trakcie wyjazdu ze stolicy Etiopii kierunku północnym.



W trakcie pierwszej wycieczki Adis wspominał o swoim dzieciństwie i o tym, w jaki sposób wyszedł ze swojej rodziny i plemienia. Historia jest nie tylko bardzo ciekawa, to jeszcze zabawna. Adis wywodzi się z plemienia Bana (Bann lub Bena), często dla określenia jego grupy używa się nazwy Hamer-Bana. Plemię Bana zamieszkuje południe Etiopii w dolinie rzeki Omo. Obszar ten znajduje się całkowicie poza systemem państwowym, jest całkowicie pozbawiony elementów cywilizacyjnych, jak prąd, drogi czy system ewidencji ludności. Ludność Bana zajmuje się przede wszystkim hodowlą krów, pomimo że posiadają także owce i kozy.

Ludność Bana według Adisa to 150 tys. ludzi, żyjących w dwudziestu pięciu wsiach. Nazwa wsi Adisa to Bashada. Kiedy zadałem pytanie, ile Adis ma lat, odpowiedź okazała się bardziej skomplikowana. Czas u Bana liczy się od wyboru króla, którego kadencja trwa osiem lat. Adis stwierdził, że ma na pewno minimum 32 lata, ponieważ pamięta czterech królów. Dla określenia króla używa się słowa Gada, a język przez nich używany to Bana. Kiedy Adis miał 9 lat, przypadkowa para Francuzów, podróżująca z Kenii, miała problem techniczny z samochodem niedaleko ich wsi.

Dla Adisa i jego rówieśników był to pierwszy pojazd mechaniczny, jaki widzieli w życiu. Nie wiedząc, co to jest, zaczęli do niego strzelać z łuku. Żartując, zapytałem Adisa, czy udało im się zabić samochód. Odpowiedział, że nie musieli, bo samochód i tak już nie żył... Okazało się, że Francuzi byli głodni, spragnieni i wystraszeni całą sytuacją. Adis jako pierwszy odważył się podejść do samochodu, zajrzał do środka i widząc wystraszonych ludzi, uspokoił kolegów. Przez tydzień gościli Francuzów w swojej wsi, a następnie pomogli im przetransportować samochód do pobliskiego miasta Arba Mynch.

W tym czasie Francuzi żyli z nimi we wsi, pili i jedli to samo, porozumiewając się na migi. Po roku Francuzi wrócili do wsi i zaproponowali ojcu Adisa, aby ten poszedł do szkoły. Ojciec się zgodził pod warunkiem, że syn zechce. Zabrali go na próbę na dwa tygodnie do misji katolickiej. Po dwóch tygodniach Adis stwierdził, że bardzo mu się podoba i chce kontynuować naukę. Adisowi podobało się przebywanie z dziećmi z różnych plemion, zabawa, nauka itp. Na początku odczuwał problemy z komunikacją z dziećmi z innych plemion, szczególnie z Borana, ale skończyło się to po sześciu miesiącach. Pomimo początkowych problemów językowych, gdyż musiał się jednocześnie uczyć trzech języków obcych, nauka i pobyt w szkole bardzo mu się spodobały. W szkole przebywał dziesięć lat, a każde wakacje spędzał nad jeziorem Stephanie, gdzie czuł się wolny, podziwiał przyrodę i polował na



zwierzęta. Po ukończeniu szkoły wyjechał na studia politologiczne do Hawassa. Następnie pracował przez trzy lata dla największej firm turystycznej w Etiopii Green Land Tours, a potem rok dla rządu, gdzie był łącznikiem dla swojego plemienia. Od 2006 r. pracuje także dla firmy Land Rower, gdzie raz na dwa lata bierze udział w trzymiesięcznych testach nowych samochodów, polegających na podróży przez kilka krajów afrykańskich całkowitymi bezdrożami. Adis wspominał, że to są najlepsze chwile w jego życiu. Nie dosyć, że jeździ najlepszymi samochodami terenowymi na świecie, to jeszcze podróżuje po Afryce w towarzystwie fajnych ludzi.

Wracamy do podróży na północ 31.12.2018 r. Po wyjeździe ze stolicy mijamy małe i większe miejscowości. W jednej z nich o nazwie Sululta około godz. 12.00 widać mnóstwo dzieci i młodzieży w szkolnych mundurkach, wychodzących ze szkoły. Na moje pytanie, w jakich godzinach dzieci się uczą i czy mają przerwę obiadową, odpowiedział, że w niektórych szkołach dzieci uczą się na dwie lub nawet trzy zmiany, po cztery godziny każda. Dzieci bogatszych rodzin z reguły uczą się rano, ponieważ nie muszą pracować. Pozostałe dzieci uczą się po południu lub wieczorem po wykonaniu swoich prac domowych.



*fot. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 53. Dzieci opuszczające szkołę w Sululto.





Zdjęcie 54. Autor na tle muzeum Haile Gebrselassie w Sululto.

W tej samej miejscowości Sululto znajduje bardzo ciekawe miejsce, szczególnie dla wszystkich miłośników biegania. Mieści się tam luksusowy ośrodek oraz muzeum jednego z najbardziej utytułowanych biegaczy na świecie Hailego Gebrselassie wielokrotnego mistrza świata, mistrza olimpijskiego i rekordzisty świata w kilku konkurencjach – Yaya Africa Athletic Village. Było to ciekawe doświadczenie oglądać jego wszystkie medale, zdobyte na olimpiadach, mistrzostwach świata, maratonach, mitingach czy też zobaczyć kilogram złota. Haile zakończył karierę w 2015 r. i zajął się m.in. biznesem. Obecnie jest jednym z najbogatszych ludzi w Etiopii i właścicielem kilku luksusowych hoteli, biurowców, ośrodków sportowych, takich jak ten w Sululto. Ośrodek jest położony w górach, na wysokości 2500 m,



otoczony pięknymi lasami. Ośrodek posiada ponad czterdzieści pokoi gościnnych na poziomie czterech gwiazdek, wyposażonych we wszystko, co na tym poziomie w nich powinno być. Ceny za pokój jednoosobowy 45 dolarów, natomiast dwójka to wydatek 55 dolarów. Ośrodek posiada pełnowymiarowe boisko piłkarskie, basen, siłownię, saunę, stoły do tenisa, boisko do siatkówki i wiele innych udogodnień. Telefon +251118961346, komórka +251966204941, e-mail: info@yayavillage.com, strona: www.hailehotelsandresorts.com. Polecam, godzina jazdy od stolicy, pięknie położony i wyposażony we wszystko, co trzeba, aby dobrze odpocząć i budować formę biegową na tej wysokości.

W dalszej drodze rozmawialiśmy o cenach nieruchomości w Etiopii. Cena działki o powierzchni 5 hektarów na wsi to wydatek rzędu 110 tys. birr – to tyle, ile w stolicy kosztuje jeden metr mieszkania. Ciekawostka: duży worek suszonych krowich odchodów to wydatek 20 birr... Dwulitrowa butelka wody mineralnej, kupiona bezpośrednio od dostawcy z samochodu, kosztuje 5 birr, ta sama woda w sklepie – 15 birr, w Kaleb Hotel, w którym się zatrzymałem – 60 birr, ale już w hotelu Sheraton – 180 birr.



*fot. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 55. Recepcja hotelu Haile Gebrselassie w Sululto.





*fot. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 56. Pokój hotelu Haile Gebrselassie w Sululto.



*fot. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 57. Widok na cały ośrodek Haile Gebrselassie w Sululto.





*fot. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 58. Oddzielanie grochu od pozostałości.

W trakcie podróży zatrzymaliśmy się na dłuższą chwilę obok jednej wsi, leżącej około 200 m od drogi, i poszliśmy przyglądać się rolnikom, jak młóćą zboże, groch i wykonują inne czynności. Po drodze minęliśmy rolnika, który z synem młócił zboże wołami. Podobnie jak poprzednio, woły mają zawiązane pyski, aby nie jadły niewymłóconego zboża. Zauważyliśmy z Adisem, że rolnik wykorzystuje do podrzucania słomy bardzo prymitywne widły wykonane z drewnianych patyków powiązanych kozią skórą. Bez problemu możemy go fotografować, chętnie pozuje do zdjęć i nie widać u niego zażenowania sytuacją.



Kilkaset metrów dalej widzieliśmy większą grupę rolników, którzy przy wykorzystaniu drewnianej łopaty, zrobionej z jednego kawałka drewna, oddzielali zboże od plew. Mechanizm jest bardzo prosty: podrzucają nad głowę zboże czy groch, a wiatr wydmuchuje lżejsze plewy czy fragmenty zboża. Praktycznie w tym samym momencie spodobała się nam łopata rolnika i Adis chciał ją odkupić. Niestety, rolnik nie chciał się zgodzić. Osobiście, gdyby nie lot samolotem, na pewno też chciałbym ją nabyć – byłbym posiadaczem ciekawej i oryginalnej pamiątki. Pojechaliliśmy dalej i w kolejnej wsi, po zaciekłych negocjacjach, Adis nabył drewnianą łopatę za kwotę około 350 birr. Przyznał mi, że jest właścicielem działki, gdzie w przyszłości postawi dom, chce też tam otworzyć małe muzeum, gdzie będzie prezentował narzędzia z różnych rejonów Etiopii.

Zatrzymaliśmy się jeszcze na pięć minut przy jednej zagrodzie, która różniła się od poprzednich swoją konstrukcją, głównie kompletnym ogrodzeniem, wykonanym z prostych patyków poprzeplatanych gałęziami. Po wejściu pomiędzy dwoma budynkami zobaczyłem kobietę z zawiniątkiem na plecach. Podeszliśmy bliżej, zrobiliśmy sobie zdjęcia i obejrzeliliśmy jej śliczne dziecko na plecach. Pożegnaliśmy się grzecznie i odjechaliliśmy.



Zdjęcie 59. Młócenie przy wykorzystaniu wołów i charakterystyczne widły.





Zdjęcie 60. Przykład konstrukcji ogrodzenia. W tle składowane suszone krowie odchody.

W końcu dotarliśmy do Ethio German Park Hotel w miejscowości Salale, miejsca założonego wiele lat temu przez zachwyconego tym terenem Niemca. W skład zabudowań wchodziła restauracja, budynek gospodarczy i hotel, na który składa się kilka małych budynków. Cena pokoju to 20 dolarów. Cały teren jest jednocześnie rezerwatem przyrody. Po dojechaniu na miejsce zobaczyłem krajobrazy zapierające wręcz dech. Nigdy w życiu nie widziałem tak pięknych widoków. Przed nami rozpościerał się kanion, na dnie którego płynęła rzeka – cudowny obraz. Przed spacerem po rezerwacie, gdy jedliśmy obiad, nagle zobaczyliśmy stado dużych małp, chodzących w odległości 100 metrów od nas. Jedząc, podziwialiśmy wspaniały widok na kanion, piękne słońce, wręcz raj. Po zjedzeniu obiadu obejrzelśmy jeszcze pokoje hotelowe, które są usytuowane kilkanaście metrów od krawędzi kanionu. Warunki średnie, na jedną – dwie noce w porządku, ale niestety brak wody wykluczył taką możliwość. Przez chwilę jeszcze chodzę z telefonem i robię zdjęcia małpom.





Zdjęcie 61. Autor z właścicielem Ethio German Park Hotel.

Po obejrzeniu hotelu wybraliśmy się na spacer do rezerwatu obejrzeć piękną panoramę i przyrodę. Zanim weszliśmy do parku z przewodnikiem, podszedł do nas pracownik parku, u którego musieliśmy wykupić bilety. Jakie było nasze zdziwienie, gdy pracownik wyjął z torby wielką kasę fiskalną i dał nam paragon. W parku na samym początku zobaczyliśmy stary portugalski most z XVI w, wykonany przy wykorzystaniu strusich jaj jako elementu wiążącego. W grudniu nie było tam praktycznie wody, ale w okresie intensywnej opadów woda zalewa cały most, nie tylko jego podnóże, ale przelewa się górą. Trudno opisać widoki, które widzieliśmy, najlepiej obejrzeć zdjęcia. Po ponadgodzinnej sesji zdjęciowej, w której Adis pokazał swoje wielkie zdolności fotograficzne, wróciliśmy. Przed wyjazdem właściciel ośrodka poprosił mnie o wsparcie w postaci promocji swojego hotelu i restauracji, co z przyjemnością czynię. Właściciel to Degaye, tel. +251910815874. Przy wyjeździe z ośrodka spotkaliśmy jeszcze dwóch starszych panów, z których jeden, jak się okazało, mówił biegle po angielsku, ponieważ wcześniej mieszkał w Stanach Zjednoczonych w Kansas.





Zdjęcie 62. Domki hotelowe Ethio German Park Hotel.



Zdjęcie 63. Widoki z Ethio German Park Hotel.





*fot. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 64. Most portugalski w Ethio German Park Hotel.



*fot. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 65. Widoki z terenu rezerwatu Ethio German Park Hotel.

W godzinach wieczornych dojechaliśmy do hotelu w miejscowości Salale, gdzie spędzimy sylwestra. W trakcie kolacji – zjedliśmy pizzę i wypiliśmy butelkę teź, którą kupiłem w trakcie wyjazdu w Karoliną i Jakubem – Adis opowiadał, jak wybiera się króla w jego pleminiu. Świetna historia, ale o tym i innych zwyczajach napiszę, gdy tam



polecę i pomieszkam – co mam już zaplanowane. Rano śniadanie i szybkie zwiedzanie lokalnego targu.

Ostatnim etapem naszej podróży był wyjazd do słynnego sanktuarium w Debre Libanos. Po drodze znowu jechaliśmy wzdłuż kanionu. Kiedy zatrzymaliśmy się, żeby porobić zdjęcia, przebiegło nam przez drogę stado wielkich pawianów Dżelada, które żyją tylko w Etiopii. Już dojeżdżając do sanktuarium, zobaczyliśmy setki pielgrzymów w odświętnych ubraniach, idących do sanktuarium. Bardzo ciekawe były twarze i stroje pielgrzymów, czuć było pewną tajemniczość i duchowość miejsca. Zanim poszliśmy do sanktuarium, należało za 200 birr wykupić bilet do muzeum, który dawał prawo wstępu do kościoła, a także robienia zdjęć. Duże wrażenie zrobiły na mnie stroje ludzi, którzy byli w kościele. Kobiety obowiązkowo miały zakryte głowy białą chustą, należało także zdjąć buty. Powiem szczerze, że sanktuarium nie zrobiło na mnie wielkiego wrażenia. Wokół było dużo chorych i biednych ludzi, mnóstwo żebraków. Każde danie jałmużny kończyło się natychmiastowym szturmem wielu osób, które stawały się bardzo nachalne. Miejsce to nie wydawało się specjalnie przyjazne. W czasie podróży mijaliśmy też miejsce przy drodze, gdzie mieszkało mnóstwo bardzo biednych i w większości chorych psychicznie ludzi, żyjących w slumsach zrobionych z fragmentów płyt, folii i drewna. Miejsce, w którym nie wolno się było zatrzymywać, głównie ze względów bezpieczeństwa. Po wizycie w sanktuarium została nam tylko droga powrotna.



*fot. Krzysztof Danielewicz*

Zdjęcie 66. Sanktuarium w Debre Libanos.



Ostatni dzień pobytu, 2 stycznia 2019 r., wykorzystałem na zakup suvenirów – najlepszym na takie zakupy miejscem w stolicy jest rejon poczty. Znajduje się tam mnóstwo sklepów z wszystkim, co turyście może się wydawać atrakcyjne. Duży wybór, sklepikarze nienatarczywi i ceny umiarkowane – do negocjacji. Drugim miejscem, które chciałem odwiedzić, to pijalnia i sklep z kawą Tomoca. Adres – Piassa Cathedral School Area, tel. +251911221412. Na miejscu można napić się kawy parzonej na różne sposoby i wybrać ten najlepszy dla siebie. Cena niesamowicie aromatycznej kawy na miejscu to 16 birr. Kawa jest sprzedawana w paczkach po pół kilograma w cenie ok. 190 birr. Wieczorem po spakowaniu się przed powrotną podróżą do Polski czekała mnie jeszcze kolacja z Karoliną i Jakubem.



Zdjęcie 67. Sklep i kawiarnia Tomoca przy Piassa Cathedral School Area w stolicy Etiopii.

Jeszcze kilka zdjęć twarzy Etiopczyków:







Na zakończenie kilka porad praktycznych.



Ze stolicy Etiopii lot miałem około godz. 23.00 do Frankfurtu, z Frankfurtu po czterech godzinach postoju – do Monachium, i z Monachium – po dziewięciu godzinach czekania – lot do Poznania. W Monachium, mając dużo czasu, pojechałem kolejką do centrum na obiad i piwo. Znalazłem słynną restaurację Hofbraeuhaus na ulicy Platzl, gdzie napiłem się pysznego niemieckiego piwa i zjadłem sznycla.

Zakupione pakiety startowe kart telefonicznych należy zarejestrować, co w warunkach etiopskich może być czasochłonne. System doładowania jest taki, jak kiedyś u nas, czyli kartka zdrapka. Na każdym kroku na ulicach są sprzedawcy kart zdrapek, więc nie ma z tym problemu. Kupuje się kartę składającą się z kilku pasków, na każdym jest zdrapka. Każda zdrapka jest warta 100 birr, zdrabujemy pasek i wpisujemy \*1234\*numer ze zdrapki, wciskamy # i dzwonimy – po chwili karta jest doładowana. Posiadanie karty lokalnej jest bardzo użyteczne, podróżując później po Etiopii wielokrotnie przez cały dzień nie miałem zasięgu na moim polskim telefonie.

Oficjalnie nie można jako turysta sprzedawać waluty obcej poza systemem bankowym czy niektórymi hotelami. Może za to grozić nawet aresztowanie. Kurs oficjalny to 27–28 birr za dolara, natomiast na czarnym rynku można za dolara otrzymać nawet 32–36 birr. Wymieniając środki w banku, musimy dać nasz paszport, który jest kserowany lub tylko spisywany, następnie pracownik banku wypisuje specjalne pokwitowanie z naszymi danymi z paszportu oraz kursem i kwotą wymienianych dolarów. Dokument taki wypisywany jest przez kalkę, po czym podpisywany przez nas i pracownika nadzorującego. Jeden egzemplarz idzie do nas, drugi zostaje w banku. Nigdy mi się nie zdarzyło, aby jakiś bank robił problemy z wymianą, chociaż w niektórych przypadkach trwało to nieznośnie długo, nawet dwadzieścia minut. Warto trzymać pokwitowanie, bo gdybyśmy nie wydali wszystkich birr i chcieli je ponownie wymienić, to taki dokument może stanowić tego podstawę. Dowiedziałem się, że Etiopczycy, którzy wyjeżdżają poza granice kraju, mogą kupić twardą walutę na podstawie biletu lotniczego. Oficjalnie podobno można kupić po 3000 dolarów na osobę. Problem polega na tym, że czasami banki nie mają waluty i wtedy pojawia się problem. Jakub opowiadał o sytuacji, gdy cała czteroosobowa rodzina dostała w banku tylko 300 dolarów na całą rodzinę. Można oczywiście dokupić sobie dolary na czarnym rynku, ale istnieje ryzyko ich odebrania na lotnisku.

Podsumowując, mogę stwierdzić, że Etiopia jest niesamowicie pięknym i urozmaiconym krajem. W Polsce funkcjonują stereotypy jeszcze z czasów komunistycznych, dotyczące suszy



i głodu w tym kraju. Do dzisiaj pamiętam z telewizji polskiej obrazy wygłodniałych i umierających dzieci. Obraz ten przeniknął tak mocno do świadomości ludzi, że każdy na pytanie, co wie o Etiopii, odpowie, że to biedny afrykański kraj, gdzie ludzie nie mają co jeść. Prawda jest taka, że jest to piękny i bardzo atrakcyjny turystycznie kraj, gdzie można poznać wspaniałych i otwartych ludzi, pochodzących z różnych plemion i mówiących różnymi językami. W kraju tym można znaleźć hotele na najwyższym światowym poziomie z umiarkowanymi cenami, piękne góry, jeziora z wyspami zamieszkałymi przez ludzi, rzeki, wodospady i ogromną liczbę dzikich zwierząt. Na dodatek na południu Etiopii żyją plemiona, zgodnie ze swoimi tradycjami, bez prądu i cywilizacji. Plemiona niezarejestrowane przez rząd etiopski, pielęgnujące swoje wierzenia.

Na koniec muszę z ogromną przyjemnością polecić biuro turystyczne mojego przyjaciela Adimasu Gebeyehu Genebo – Adimasu Tours Ethiopia. Biuro mieści się w Kaleb Hotel Addis Ababa Ethiopia, 1000 Addis Abeba, tel. +251 97 771 9156. Bardzo rzetelny i uczciwy przewodnik. Nie tylko świetnie się komunikuje w różnych językach, ale traktuje ludzi w sposób, który powoduje, że szybko wchodzi w środowisko, budując bardzo dobre relacje. To z kolei przekłada się na wysoki poziom bezpieczeństwa.